



FRYDERYK M. SMITH.

ZAIRA

(Romans kryminalny marokański).

Przełożył S. W.

— Żołnierze sułtana — powtórzył Borroughs — ależ tych nie mam powodu się obawiać. Nie miałem z nimi żadnego zatargu i mogę im dać wyjaśnienia, jakich tylko zażądają.

— Ale ja nie. A ponieważ stawiliśmy im opór razem, jesteśmy więc teraz współnikami i ludzie ci nie uwierzyliby i panu również.

— Cóż więc zrobimy?

— Będą usiłowali wyłamać drzwi, musimy zatem wymknąć im się przez dachy.

— Nowy ten obrót rzeczy oddział na Borroughs'a przynębiająco. Zaledwie wyjdzie z jednego niebezpieczeństwa, popada natychmiast w drugie, a nadto miał wrażenie, że idąc przed nim kobieta chce go wyzyskać dla własnych celów. Nie miał jednak wyboru; u żołnierzy, dobijających się tam na dole, jak słusznie twierdziła francuska, nie znajdzie wiary i nie dojdzie z nimi do porozumienia. Do kogoś trzeba mieć zaufanie — lepiej zatem już do tej kobiety, którą znał. Poszedł więc za nią biernie.

Przeprowadziła go przez pokój, gdzie stoczył walkę z dwoma francuzami, po drodze potracił nogą rewolwer. Jakkolwiek odmówił mu strzału, była to jednak w każdym razie broń, schylił się, podniósł go i ukrył w rękawie.

Następnie przez inne schody wydostali się na dach.

Tymczasem noc zapadła szybko, chłodny wietrzyk powiał, ciemno-szafirowe sklepienie niebieskie zajaśniało milionem gwiazd, a w ich małym świetle ujrzał artysta przed sobą morze niskich, płaskich dachów, poprzedzanych parapetami metrowej wysokości. Nowy ten zupełnie dla niego widok ukazał mu cały urok i oryginalną poezję Marokka. Nie było mu jednak danem napawać się długo czarem tego niezwykłego obrazu. Młoda kobieta, poprzedzająca go, zamierzała właśnie przejść przez pierwszą balustradę, oddzielającą dach od sąsiedniego, gdy nagle z ciemności wynurzyły się trzy postacie i otoczyły ją. Nie krzyknęła, tylko szepem przyzwała Borroughs'a na pomoc, właśnie w chwili gdy zamierzano zarzucić jej turban na twarz.

Dziwna i niepojęta płatanina wypadków dnia tego sprawiła, że teraz żądała od niego pomocy kobieta, której imienia nie znał nawet, niewątpliwie awanturka, jeżeli nie coś gorszego jeszcze; i w obronie której musiał się znów rzucać do walki.

Jednym skokiem był już pomiędzy czworogiem szamoczących się ludzi. kolbą rewolweru grzmotnął z całej siły w głowę marokańczyka, przytrzymującego kobietę za jedno ramię, a gdy ten padł na ziemię, stało się coś nieoczekiwanego: kobieta oswobodzoną ręką zrobiła gwałtowne poruszenie i olbrzymi maur, uczepiony w jej drugiego ramienia z głuchym jękiem osunął się na ziemię. Prawdopodobnie ugodziła weń nożem, lecz Borroughs nie był tego pewny. Zwrócił się więc do trzeciego przeciwnika, który ciągle jeszcze trzymał turban nad głową kobiety, lecz na jego widok cisnął go i rzucił się ku niemu. Chwycili się za bary i rozpoczęła się milcząca, zaciepła walka. Maur był o pół głowy niższy od amerykańnika lecz zdawał się obdarzony nadludzką siłą; ujął malarza rękoma, jak kleszczami, brodą naciskał mu piersi i usiłował pchać wstecz. Dwa razy chciał mu podstawić nogę, lecz za każdym razem amerykańnik szczęśliwie uniknął niebezpieczeństwa.

Jednak z każdą sekundą zbliżali się do niskiego parapetu, okalającego dach od ulicy. Walcząc z francuzami na dole, miał przynajmniej amerykańnik swobodę ruchów, obecnie w ubrańni obcem dla siebie, i do którego nie nawykł, czuł się skępowany. Obejrzał się, czy młoda kobieta nie idzie mu na pomoc, ale zobaczył tylko, że się spieszenie oddala i niknie w otworze prowadzącym do wnętrza domu. Jak

8) błyskawica przemknęła mu przez głowę, iż ratując własne życie, pozostawia go jego własnemu losowi i na samą tę myśl zawrzał gniewem. Nagle spostrzegł, iż młody marokanin odurzony uderzeniem w głowę, odzyskał przytomność i czołgając się, posuwa ku nim. Położenie z każdą chwilą stawało się groźniejsze, lecz Borroughs postanowił drogę sprządać życie. Przeciwnik przypiera go coraz silniej do parapetu i malarz musiał nateżyć wszystkie siły, wysilić całą uwagę, aby nie dać się przerzucić. Naraz gwałtownym kopnięciem udało mu się na chwilę oswobodzić; zacerpnął głęboko powietrza w płuca i jednym susem stanął na środku dachu, plecami zwrócony ku schodom i wymierzonym rewolwerem trzymając w szachu napastników, którzy znów rzucali się ku niemu. Ale w tej samej chwili z otworu dachu wypadł raptownie mężczyzna z nożem w podniesionej ręce i zanim Borroughs zdołał się zorientować w jaki sposób temu nowemu — jak przypuszczał — przeciwnikowi zdołał stawić czoło, ten przebiegł koło niego błyskawicznie, pochwycił jednego z jego napastników za gardło, powlókł do parapetu i wyrzucił na ulicę.

Teraz dopiero w mroku nocnym poznał Borroughs murzyna, który tak niedawno jego samego dusił uściskiem swej potężnej ręki, a w tej chwili w sposób tak niezrozumiały i niespodziany pospieszył mu z ratunkiem. Tłumiony śmiech, jaki posłyszal obok siebie wyjaśnił mu tę zagadkę. To francuska, którą posadził, że go opuściła i pozostawiła na łup nieprzyjaciół, przyzwała na pomoc znajdującego się gdzieś w pobliżu murzyna. Stała teraz obok młodego człowieka z rozwianym włosiem i falującym łonem i śmiała się radośnie.

— Chodź pan — rzuciła w końcu, ciągnąc go za rękaw. I nie troszcząc się zupełnie, w jaki sposób czarny olbrzym załatwi się z pozostałymi nieprzyjaciółmi, wyprowadziła Borroughs'a innymi schodami, wiodącymi wprost na ulicę.

Ulica, na którą wyszli, była wąska i prawie zupełnie ciemna, gdyż tylko gdzieś tam dość znacznych odstępach pały się latarnie. Zatrzymali się pod ścianą i rozejrzeli dokoła przeczornie. W niezbyt wielkiej odległości od nich, przed domem, który tylko co opuścili, stało kilka ludzkich postaci, mocujących się z opornymi drewnianymi drzwiczkami i usiłujących wyważyć je; teraz właśnie rozległ się trzask i wyleciały one na wewnątrz.

Tę chwilę ogólnego zamieszania wyzyskała młoda kobieta i cichutko wsunęła się z towarzyszem w ulicę, spuszczacą się ze spadzistego wzgórza tarasowato i przeciętą w kilku miejscach schodami. Jakkolwiek uciekający trzymali się ostrożnie w cieniu domów, zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków, posłyszeli za sobą wołanie; zrozumieli, że ich dostrzeżono i że są ścigani. Jeden z ludzi, wyważających drzwi, nie wszedł z innymi do środka, lecz pozostał na warcie i na wszczęty przez niego alarm rozpoczęła się pogoń.

Teraz francuska i amerykańnik biegli, ile im sił starczyło ulicą na dół. Wyminieli kilka milczących postaci, nie zdających się na nich zważać, ale francuską każdy nowy przechodzień przejmował strachem; nagle uchwyliła Borroughs'a za ramię i pociągnęła go w boczne niebrukowane przejście. Było ono zupełnie nieoświetlone i tak wąskie, że nawet blask gwiazd nie przenikał. znaleźli się więc w jednej chwili w najgłębszej ciemności. Zabójcze wyziewy unosiły się ze śmietnisk i nagromadzonych nieczystości, przez które, potykając się, brnęli — nie czuli nic, gdyż ścigających mieli już znów na karku. Byli oni tak blisko za nimi, że zauważyli, gdzie skreśli; miejscowość była im widocznie również dobrze znana, nie zawahali się więc ani chwili i kroki szybko, coraz szybciej się zbliżali.

Prędko — szeptała francuska — prędko, musimy znaleźć jakąś kryjówkę, gdzieby się ukryć można. Mówiąc to, przycisnęła się całym ciałem do muru, a rękami macała wokoło. — Ach! tu! — szeptała znów i nacisnęła klamkę — ale drzwi nie ustąpiły — były

zamknięte z wewnątrz. Posuwali się więc w dalszym ciągu, przycisnięci do ściany, potykając się i szukając jakich drzwi, któreby im udzieliły schronienia. Nakoniec natrafili na takie, otworzyły się i po chwili oboje znaleźli się poza niemi w jeszcze głębszej ciemności. Już był najwyższy czas, zaraz posłyszeli kroki po drugiej stronie i jakaś ręka naciskała klamkę, ale Borroughs całym ciężarem swego ciała zdołał podeprzeć drzwi. Ścigający, nie mogąc otworzyć, cofnęli się; przez chwilę słychać było jak kilku ludzi naradzało się półgłosem, w końcu odeszli. Chwilowo stracili ślad, ale — na jak długo?

Czy zna pani ten dom? — spytał po cichu Borroughs.

— Nie.

Po tych słowach zaległa głucha cisza, wśród której zbiedzy spostrzegli, że w swym schronieniu nie byli sami. Posłyszeli naraz, że ktoś lekko we śnie oddycha. Borroughs zaś zauważył że się nie znajduje w sieni wyłożonej płytami kamiennymi, prowadzącej do wnętrza domu, lecz że są w jakimś pokoju — a w tym pokoju ktoś śpi.

ROZDZIAŁ VII

Francuska, dysząc, stała obok Borroughs'a, który byłby ją chętnie zarzucił pytaniami, ale obawiał się, że najłżejszy szmer może być posłyszany przez osobę, znajdującą się w pokoju. Jeżeli nieznajomy spał, to jego przebudzenie równało się ich wykryciu — jeżeli nie spał, to każdej chwili mógł na nich napaść w ciemności. Stali tak, wstrzymując oddech przez kilka minut, które im się wydały długie jak wieczność.

— Zobacz pan, czy przy drzwiach jest zasuw — wyszeptała mu do ucha. On, posuwając ręką wzdłuż drzwi, namacał rygiel i zasunął go. Przynajmniej byli zabezpieczeni choć na krótko, od wtargnięcia z zewnątrz. Kobieta nerwowo ścisnęła go za rękę. — Musimy odnaleźć drugie wyjście — szeptała, pociągając go na prawo. Szedł za nią ostrożnie, obawiając się wejść w niepożądane zetknięcie się z jakimkolwiek przedmiotem, znajdującym się w pokoju. Posuwali się koło ściany, macając i zatrzymując się co parę kroków, nasłuchiwali, czy ten ktoś śpiący nie poruszy się, nie przemówi, lub nie przyskoczy do nich. Naraz ręka młodego amerykańnika spoczęła na prostym drewnianym stole, jego towarzysza dostrzegła to i poszła za jego przykładem, i oboje ostożnie posuwali rękami po czworokanciastym, bez żadnego nakrycia stole, na którym namacali metalową miszkę, lampę olejną i talerz, aż w końcu palce Borroughs'a natrafiły na przedmiot cienki i długi ze stali, a gdy zacisnęły się ostatecznie na rękojeści, uśmiechnął się złośliwie i schował szybko sztylet do kieszeni kaftana.

Psst — syknęła lekko kobieta, chcąc zwrócić jego uwagę i wcisnęła mu do ręki jakiś mały przedmiot, w którym poznał pudełko zapalek szwedzkich. Wyjął jedną zapalę:

— Czy mam zapalić? — Spytał.

— Zaczekaj pan jeszcze — była cicha odpowiedź.

Okружиł stoł i ręka kobiety ujęła opone. Może była to zasłona przy drzwiach, a może kotara przy łóżku, na którym według wszelkiego prawdopodobieństwa spoczywa śpiący. Zawahała się chwilę, lecz w końcu odsunęła opone, poza którą oprócz ciemności nic nie dojrzała. Najprawdopodobniej była to nisza, zrobiona w ścianie. Szukali dalej po omacku, ale na drzwi nigdzie natrafić nie mogli. Miarowy oddech śpiącego słyszeć się dawał coraz wyraźniej.

— Światła! — szepnęła francuska.

Borroughs potarł zapalę i żółty płomyk zabłysnął sycząc. W tem niepewnym świetle zarysowało się dość wyraźnie wnętrze pokoju: dojrzeli stoł, jedyne krzesło, niszę w ścianie, kilka innych niewyraźnych przedmiotów, których z powodu mroku rozróżnić nie mogli, drzwi, przez które weszli, i naprzeciw nich drugie, dalej jeszcze jeden stoł i w najdalszym kącie na ziemi materac, na którym widniała jakaś postać